

FABRYCZNA ZONA . PL

TAM GDZIE CIEPŁO



fabryka słów
WYDAWNICTWA



PAWEŁ KORNEW

Paweł Kornew "Tam gdzie ciepło" - fragment

MAT

Trwanie w beczynności jest rzeczą przeciwną naturze.

W dawkach homeopatycznych trudno sobie coś lepszego niż słodkie lenistwo wymarzyć, ale w skali przemysłowej może przyprawić człowieka o szaleństwo.

Nie wierzycie? To spróbujcie na miesiąc zamknąć się w pokoju bez komputera, bez książek albo przynajmniej odpowiedniej ilości alkoholu. Wyśpi się człowiek na tydzień naprzód, a potem od ciągłej monotonii czterech ścian zaczyna się gotować mózg.

I właśnie w ten sposób, powoli, lecz z całą pewnością, zbliżałem się do podobnego stanu. Łóżko, szafka nocna, równiutki wzór cegieł na ścianach, terakotowa podłoga, lampa nad głową i... i to wszystko.

Cały miesiąc tak spędziłem. Niewypowiedzianie nieskomplikowanie!

A przecież nie przebywałem w takim zamknięciu przez okrągłą dobę! Rano szedłem do sali treningowej, co dwa dni parzyłem się w łaźni. Poza tym zostały mi po poprzednim lokatorze książki. A i karmiono mnie nieźle, nie mogłem absolutnie narzekać.

Mogłoby się здаwać – żyć nie umierać. Ale tak się nie da.

Człowiek, jak by nie patrzeć, jest istotą społeczną, od czasu do czasu potrzebuje obcować z podobnymi sobie. Inaczej może mu zwyczajnie zacząć odbijać. Mnie, na przykład, bardzo niewiele brakowało do wybuchu nerwowego.

Tak, kontaktów z ludźmi brakowało mi wręcz katastrofalnie. I dziwna sprawa: chociaż nie byłem w tym zamknięciu zupełnie sam, nie miałem z kim porozmawiać. Śniadanie, obiad i kolację przynoszono mi do pokoju. Do sali ćwiczeń, sauny i świetlicy miałem wstęp albo bardzo wcześnie, albo bardzo późno, więc z innymi nie miałem okazji się spotykać.

Zacząłem nawet wątpić, czy aby na pewno byli jacyś inni mieszkańcy...

Sam budynek z pokojami do wynajęcia, znany jako „Królestwo Aida”, był popularny w pewnych wąskich kręgach, ale o lokalach w piwnicach byłej kostnicy miejskiej wcześniej jakoś nie słyszałem. Chociaż, z drugiej strony, nigdy się też nie interesowałem warunkami mieszkaniowymi w tym kompleksie. Jego właściciel dyktował bowiem stawki z księżycą. Mogły być przystępne co najwyżej dla bogatych paranoików albo takich, którzy potrzebują przetrwać ciężki okres w bezpiecznym miejscu. Przy czym słowo „potrzebują” to eufemizm. Prędzej muszą i jest to dla nich sprawa życia i śmierci.

A w tym względzie „Królestwo Aida” było bardziej bezpieczne niż nawet Komenda Centralna Drużyny albo Gimnazjon. Zarządzający kamienicą mag, nazywany Hadesem, otoczył budynek kostnicy nieprzeniknioną kopułą ochronną. I jednocześnie pozbawił mieszkańców wszelkiej możliwości przypadkowego spotkania się. Nieliczny personel pracował systemem podobnym do wacht na statku.

Paranoja?

Nie jestem pewien.

Mnie w każdym razie takie podejście do spraw bezpieczeństwa w pełni urzędowało. Po tym, jak narobiłem bigosu Siostrom Chłodu i solidnie podeptałem odciski bandytów z Siódemcy, zacząłem bardzo cenić sobie fakt, że budzę się rano cały i zdrowy.

Właśnie dlatego, mimo że przesiedziałem w małym pokoju prawie miesiąc, jeszcze nie urządziłem dzikiej awantury w proteście przeciwko oburzającemu ograniczaniu moich praw. Cierpliwość przychodziła mi tym łatwiej, że za pobyt nie płaciłem z własnej kieszeni.

Zresztą z całego kapitału cieszącego się niegdyś powodzeniem przedsiębiorcy Jewgienija Maksymowicza Apostoła dawno została tylko dziura od precla. Pieniądze lubią być liczone, więc jeśli się wypada na miesiąc z życia, pozostaje tylko nadzieja na przyzwoitość współników. A w istocie rzeczy – na cud. Nie jestem w stanie policzyć, ilu biznesmenów poszło za mojej pamięci z torbami dlatego, że trafili do szpitala albo złapali ciąg alkoholowy.

Przy czym, skoro za mój pokój wciąż wpływała należność, mogłem mieć nadzieję, że nie wszystko stracone. Nie zostałem jeszcze zupełnie skreślony.

Chciałem liczyć, że jest tak w istocie rzeczy...

Ten ranek wyglądał dokładnie tak samo, jak poprzednie. Inaczej zresztą być nie mogło, bo jeśli zamknie się kogoś w czterech ścianach, wszystkie dni stają się do siebie straszliwie podobne.

Obudziłem się, umyłem, ogoliłem.

Krzywiąc się od rwania w postrzelonej nodze, po-ćwiczyłem na rowerze stacjonarnym, wziąłem prysznic, zjadłem śniadanie.

Poczytałem pozostawioną przez poprzednika „Alicję w Krainie Czarów”, zaznaczyłem liczbę 13 na kalendarzu, a potem – dręczony nudą – runąłem na łóżko.

Właśnie wtedy wszystko się zaczęło.

Zazgrzytał zamek, otworzyły się drzwi i do pokoju został wepchnięty wózek z półmiskami, nakrytymi niklowanymi pokrywkami.

Nie zdążyłem się nawet zdziwić tym obiadem dostarczonym o niezwykłej porze, kiedy szczęka zupełnie mi opadła. I nie chodziło wcale o sztywny serwis, lecz osobę kelnera.

- Zamawiał pan dziczyznę? - Mrugnął do mnie jasnowłosy gość, barczysty i krępy, ale wyraźnie zaczynający tracić sportową formę. Ani zapięta na wszystkie guziki marynarka, ani założony na nią fartuch nie były w stanie ukryć zaznaczającego się brzuszka.

- Cześć, Denis - westchnąłem. - Zajmujecie się te-raz cateringiem dla biznesmenów?

- Coś w tym rodzaju.

Nie miałem zbyt wielu powodów, żeby cieszyć się z tej wizyty. Chociaż Denis Sielin spośród współpracującej ze mną ochrony był najbardziej towarzyski, to jednak przecież to tylko żulik. Zwykły rzezimieszek. A w tym środowisku najpierw dba się o własny interes, z zasady nie zajmując się działalnością charytatywną. Wprawdzie dokuczyło mi siedzenie w zamknięciu, ale nie miałem podstaw liczyć na to, że sytuacja się poprawi. Wręcz przeciwnie.

Poprzednim razem ci przedsiębiorczy ludzie we-pchnęli mnie w takie bagno, że zimno się robi na samo wspomnienie. Cudem uszedłem z życia.

Denis podtoczył wózek do łóżka i rozejrzał się w poszukiwaniu krzeseł, lecz takich mebli w pokoju nie było.

- Przyszedłem do ciebie z życzeniami w dniu urodzin między innymi, a ty taki niezadowolony.

- Urodzin? - zdziwiłem się i spojrzałem mimo woli na kalendarz. - A skąd taka troska i pamięć?

- Odpręż się trochę! - Sielin wziął stojącą w kącie szafkę nocną i przystawił ją do łóżka. - A tak w ogóle to jesteś przecież jasnowidzący. Sprawdź sobie, po co przyszedłem, jeśli masz wątpliwości.

- Nie uda się - burknąłem i podniosłem pokrywkę największego półmiska. Rzeczywiście, dziczyzna. I najwyraźniej prosto z kuchni, jeszcze nie ostygła.

- A to dlaczego? - zdziwił się Denis.

- Gospodarz tego gościnnego miejsca tak uporządkował ruchy magicznej energii wewnątrz gmachu, że teraz nie zgadnę nawet, kto puka do drzwi.

- A tak, Hadesa na to stać - zgodził się Denis, siadając na szafce. Zdjął drugą pokrywkę z tacy, na której rozłożono dodatki do mięsa. - U niego nie ma przebaczenia.

- A zatem przyszedłeś z życzeniami? - Spojrzałem krzywo na Sielina, dzieląc kaczkę.

- Aha. - Kiwnął bez troski głową i nabił na widelec kawałek pieczonego. - Sumienie mnie ruszyło. Zamknęli cię w piwnicy bez okien i zapomnieli o tobie. Świństwo! Dlaczego nie wynajęli ci apartamentu z ba-senem i ogrodem zimowym?...

- Dobrze już. - Skrzywiłem się, doskonale wyczuwając niewypowiedziany wyraznie wyrzut. - Jestem wdzięczny, że mnie osłaniacie, ale wolałbym wiedzieć, co sływać i w ogóle co z czym. A siedzę tutaj jak w karczerze! Nic nie wiem o bożym świecie, cholera!

- Jak na karczer, to całkiem porządny apartament. Mogę ci to powiedzieć z całą odpowiedzialnością. W ciężkim więzieniu nie znalazłbyś sauny. Telewizora też.

- W telewizji puszczają tylko jakieś starocie. A do sauny bym sobie chodził na wolności, stać by mnie było. Powiedz, długo mam tu jeszcze tkwić?

- Znacząco? Chcesz stąd wyjść?

- Chcę. - Żując kaczkę, spojrzałem ponuro na gościa. - Wydaje ci się to dziwne?

- Ależ nie, tak w ogólności...

- To jak będzie? Kiedy mnie stąd wypuścicie? - Gdyby zaryglowane drzwi były tylko między nami dwoma... - Denis zmrużył chytrze oczy i wskazał na wyjście. - Ale drzwi są między nami a nimi. Nie mogę cię ani wpuścić, ani wypuścić.

- Przestań już szydzić! Poważnie pytam!

- „Jeśli odważyć się i jednak wpuścić, to czy wypuścić potem można? Trudniejsze to niż »być albo nie być?«, myślą żabki ostrożne” - zaśpiewał Sielin i wrzucił ramionami. - Trzeba jeszcze zaczekać.

- Zaczekać? - jęknąłem. - Ile można czekać? Niedługo korby dostanę!

- Korby dostaniesz? Drobiazg, przyda się do odpalania samochodów. - Denis machnął lekceważąco ręką. Sięgnął widelcem i położył sobie na talerz skrzydełko. - A tak w ogóle to pytanie nie do mnie.

- To po coś tutaj przylazł?! - wrzasnąłem. Nerwy mi puściły.

- Przecież mówiłem. Z życzeniami urodzinowymi. - Sielin rozpląnął się w szerokim i niewątpliwie fałszywym uśmiechu. Wyjął z kieszeni płaską butelkę konia-ku. - Po maluchu?

We flaszcze nie mogło się mieścić więcej niż dwieście gramów. Zupełnie niespodziewanie dla samego siebie oklapłem i machnąłem ręką.

- Polej...

Po setce to w porządku. Setka koniaku to nie problem. W każdym razie mogłem nie obawiać się kontynuacji imprezy. Natura zapomniała wyposażyć mnie w system pozwalający na spożycie większej ilości alko-holu. Jednak w mojej sytuacji nie zaszkodzi odprężyć się odrobinę.

I chociaż woda bardzo kiepsko łączy się z jasnowidzeniem - a ściśle rzecz biorąc, nie współgra z nim wcale - w takich okolicznościach kropelka nie zaszkodzi. Urodziny w końcu ma się tylko raz do roku. I nie po winno być teraz problemów w związku z darem: skoncentrowane na kształt betonu pole magiczne zagłuszało wszelkie moje zdolności.

- I prawidłowo! - Sielin odkręcił butelkę, rozlał zawartość do dwóch szklanek. - Prawdziwy francuski. Twoje zdrowie!

Wychylił szlachetny trunek jednym łykiem, wypuścił głośno powietrze i zaczął obgryzać skrzydełko. Pokręciłem tylko głową, wziąłem szklankę i skrzywiłem się od ostrego aromatu. W smaku „prawdziwy francuski” okazał się całkiem przyzwoity. Odpiłem trochę, skinąłem z aprobatą głową, po czym wziąłem się do jedzenia.

- Strasznie tu u ciebie ascetycznie. - Sielin rozejrzał się, odłożył na talerz kostki. - Może podrzucić ci trochę plakatów z gołymi babami?

- Nie trzeba, dzięki serdeczne - prychnąłem. - Mam nadzieję, że niedługo już tu zostanę.

- A jaką ja mam nadzieję! - Co masz na myśli?

- Hades, stare capisko, taką forszę zdziera za tę klitkę, że to po prostu kryminał!

- Nie jęcz, nie zbankrutujecie. - Upiłem koniaku, czując, jak po ciele rozlewa się ciepło. - Jak tam z waszym sport-barem?

- A wiesz, że całkiem nieźle. - Denis zanurzył kawałek mięsa w sosie. - Narodu pełno, a kiedy nie ma meczów, puszczone powtórki.

- Powinniście teraz otworzyć kino.

- Myśleliśmy o tym, ale nie da rady zapewnić regularnie nowego repertuaru.

- To fakt - zgodziłem się i dopiłem resztkę koniaku. - Ech, dobrze poszedł...

- Ale dlaczego ja tylko o sobie i o sobie! - zachnął się Sielin. - Powiedz lepiej, jak noga?

- Całkiem dobrze, tylko rano ciągnie.
 - Rozćwiczasz ją?
 - Pewnie! Na widok roweru już mnie mdli!
 - Nic nie poradzisz. Cierp, Kozaku, a zostaniesz atamanem. - Denis wytarł palce w serwetkę, odchrząknął i wstał. - Pora przejść do części oficjalnej.
 - Dałbyś spokój!
 - Co znaczy „dałbyś spokój”? - Sielin uśmiechnął się, a potem z dolnej półki wózka wziął niepozornie wyglądające kartonowe pudełko. - Krótko mówiąc, wszystkiego najlepszego...
 - A to co znowu? - zdziwiłem się, przyjmując podarek, który okazał się nieoczekiwanie ciężki.
 - Sam zobacz. - Denis machnął ręką i ostentacyjnie nie zwracając na mnie uwagi, zaczął grzebać widelcem w talerzu z przekąskami.
- Oderwałem pasek taśmy klejącej, otworzyłem pudełeczko i w osłupieniu wpatrzyłem się w rewolwer. Wy-dobyłem go, wciąż oszołomiony, i upewniłem się:
- Uważasz, że to niezbędne?
 - A dlaczego nie? - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się niespodziewanie. - Na pewno się przyda.
 - A co to w ogóle za bestia? - spytałem, widząc pun-cę w kształcie wpisanej w okrąg głowy nosorożca. Co najdziwniejsze, lufa znajdowała się nie w górnej części bębena, ale w dolnej. - Rhino 40DS, kaliber magnum trzysta pięćdziesiąt siedem, Chiappa Firearms.
 - Nosorożec - odparł Sielin takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. - Czterocalowa lufa, konstrukcja pozwalająca zmniejszyć od-rzut.
 - Chiappa Firearms to nazwa dystrybutora? - uściśliłem, w myślach zgadzając się z nadaną temu gnatowi nazwą. Rzeczywiście, przywodził na myśl nosorożca. A co ciekawe, drewniane okładziny rękojeści najwyraźniej nie były oryginalne, lecz wykonane przez naszych miejscowych rzemieślników. Wszystko zrobione świetnie, nie było się do czego przyczepić. Lakierowane drewno pokryto magicznymi znaczkami. W dodatku runy na obu częściach różniły się nieco. Czyżby czarownicy wlały w nie dwa różne zaklęcia? To robiło wrażenie. - Jaki to kaliber właściwie? Trzysta pięćdziesiąt siedem, jak napisane?
 - Nie inaczej. - No to sporo, co?
 - Waga standardowej amunicji wynosi od ośmiu do jedenastu i pół grama, więc sam sobie pomyśl, czy to sporo.
 - I to cudo dostałem w prezencie? - spytałem, przeczuwając w tym jakieś łotrstwo.
 - Aha. - Denis pokiwał głową. - Za cholerę nie można znaleźć naboju w Forcie, dlatego postanowiłem ci go podarować.
 - Ale masz gest...

Zważyłem rewolwer w dłoni, pobujałem nim i spuściłem kurek. Nieźle. Na pewno. Nie bardzo się

znam na broni, z wyjątkiem charakterystyk cenowych, oczywiście. Ale dotarło do mnie, że Sielin, jeśli do rzeczy podejść uczciwie, nie poświęcił się jakoś szczególnie. Wiadomo przecież, że jeśli ktoś w ogóle będzie miał do sprzedania odpowiednie naboje, ich cena okaże się niebotyczna.

- Słuchaj, Denis... - Przeciągnąłem palcem po pokrytych lakierem symbolach i poczułem lekkie ukłucie magicznej energii. - Jakie czary są nałożone na okładziny?

- Nie mam pojęcia, dostałem go już z tym wszystkim.

- I co, nie było nawet instrukcji?

- Nie było, sam się musisz zorientować. - Sielin podał mi już rękę na pożegnanie, ale przypomniał sobie nagle coś ważnego i plasnął się w czoło. - Cholera! Hamlet też dał dla ciebie prezent!

Poklepał marynarkę, wyjął z bocznej kieszeni oklejone kolorowym papierem niewielkie pudełko i rzucił mi je na kolana. Oderwałem z wierzchu różową kokardkę, wytrząsałem na dłoń nabój ze ściętym i wy-drażonym czubkiem. Zakląłem paskudnie, a potem spojrzałem na pokładającego się ze śmiechu Denisa.

- To ma być aluzja?

- Żebyś widział siebie teraz! - Sielin potrząsnął głową, uspokoił się nieco, otarł łezkę z kącika oka. - Wiedziałem, że się nabierzesz! Muszę opowiedzieć chłopakom.

- Powiedz Hamletowi, że przechowam ten nabój jak najcenniejszą pamiątkę.

- Trzymaj. - Denis wyjął z drugiej kieszeni brązowe pudełko z rysunkiem pistoletu i rzucił je na łóżko obok mnie. - To od Filipa.

- Pozdrów go.

- Pozdrowię. - Sielin wyszedł na korytarz, ale zaraz zajrzał z powrotem. - I weź pod uwagę, że to jeszcze nie wszystko!

- W jakim sensie? - zaniepokoiłem się, ale on tylko zatrzaskał drzwi i od razu usłyszałem zgrzyt blokowanego zamka.

Niech to!

Ale mi się trafił dowcipniś!

Podniosłem ciężkie pudełko, które nie było tak na-prawdę brązowe, ale w odcieniu beżu i ochry, z białym napisem „Federal premium” na czarnym kwadracie. Była też podana na opakowaniu sumaryczna waga kul: sto pięćdziesiąt osiem gramów, a w samej paczce brakowało jednego naboju. Wychodziło na to, że wliczając prezent od Hamleta, miałem komplet - dwadzieścia sztuk.

Odchyliłem magazynek i wstawiłem sześć naboju do komór, po czym w zadumie zważyłem rewolwer w dłoni. I gdzie powinienem go umieścić? Przecież nie w kieszeni. W ogóle się nie nadawał do noszenia w ukryciu. Ale, z drugiej strony, dobrze by było mieć spluwę zawsze pod ręką.

Musiałem brać pod uwagę aluzje, a lepiej zabezpieczyć się zawczasu, niż potem czerwony ze wstydu tłumaczyć aniołom przychodzącym po duszę, że po prostu nie pomyślałem.

W końcu schowałem rewolwer i amunicję do szafki nocnej, przesunąłem ją do wezgłowia łóżka, a

potem na próbę wysunąłem i wsunąłem górną szufladę. W porządku - wydobyć broni to tylko chwilka.

Jeśli nie będzie trzeba tego robić, tym lepiej. Ale jeśli będzie...

Nie, do diabła! Lepiej już niech nie będzie...

Resztę dnia zepsuły mi wspomnienia rozmowy z Sielinem. A powinno być wręcz przeciwnie - w końcu człowiek znalazł czas, żeby zająć i złożyć życzenia. Jednak na duszy było niespokojnie i został dziwny osad. Lepiej już, żeby chłop nie przychodził w ogóle.

Nigdy nie lubiłem świętować własnych urodzin, jeśli już o tym mowa. Do przyjaciół zważyć się na imprezę - zawsze chętnie, ale żeby samemu popijawę organizować... Następnego dnia żyć się odechciewa. Nie dość, że łeb pęka, to dom wygląda jak śmietnik.

Przez jakiś czas leżałem na łóżku z książką, potem rzuciłem ją na szafkę i wyjąłem z szuflady rewolwer. Zatoczyłem lufą parę kółek, żeby przywyknąć do ciężaru, pogładziłem drewniane okładziny rękojeści i schowałem broń z powrotem.

Ale też mi Hamlet dopiekił, podły typ! Jeden nabój, myślałby kto!

Wstałem, zrobiłem parę przysiadów, krzywiąc się od bólu w biodrze, otarłem pot z twarzy. Postrzelona przez kiepsko celującego rangersa noga niby już się wygoiła, ale do tej pory łamało mnie w niej po prostu nielitościwie. Kiedy wróciliśmy do Fortu, miejscowy luminarz medycyny, Saławat z centrum handlowego, tylko rozłożył ręce: późno, powiada, już nic się nie zrobi. Jeśli masz nadmiar pieniędzy, dobry człowieku, zainwestuj w mocne tabletki uśmierzające ból. A w pierwszym rzędzie powinieneś zaopatrzyć się w laskę.

Tabletek dumnie odmówiłem. I zupełnie tego nie żałowałem, tyle że noga rwała i nie przestawała mi dokuczać mimo błogiej świadomości, że miałem rację.

Krzywiąc się z bólu, padłem na łóżko, a wtedy znowu, już drugi raz tego dnia, zazgrzytał zamek. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła zgrabna rudowłosa dziewczyna w króciutkiej kretonowej spódniczce.

- Cześć, Jewgienij! - Podała mi związany szpagatem pakunek. - Przyszłam złożyć ci życzenia z okazji urodzin i przyniosłam prezencik...

- Witaj, Marino! - Z trudem oderwałem wzrok od ślicznych, opalonych nóg dziewczyny, zerwałem się z łóżka i jakby mimochodem zatrzasnąłem szufladę szafki nocnej. - Prezent to ty czy tort?

- Tort. - Uśmiechnęła się łobuzersko, a w kącikach jej zielonych oczu pojawiły się ledwie zauważalne zmarszczki. - Ale nie tylko...

- Nie tylko? - Wziąłem pudełko, a dziewczyna cmoknęła mnie w policzek. - Kusząco coś tam chlupocze.

- Bo wpakowali jeszcze butelkę wina. - Wino, tort... Cóż za romantyzm...

- Właśnie, romantyzm. - Marina znów się uśmiechnęła i rozejrzała po pokoju. - Ale tego wnętrza romantycznym chyba nie nazwiesz...

Trudno by było się z tym spierać. Pokój absolutnie nie wyglądał na ekskluzywny apartament. Wedle

standardów panujących w zwyczajnym świecie byłby trzeciorzędną norą, ale przy tutejszych normach trudno wymagać czegoś lepszego, to wręcz ideał. Ciepło, jasno, gorąca woda bez ograniczeń. Umebrowanie co prawda wyjątkowo podłe, ale akurat to mi nie przeszkadzało. To znaczy do tej pory nie przeszkadzało...

- Co zrobisz? - westchnąłem, łamiąc sobie głowę, co jest powodem tej wizyty. Sielin mógł jeszcze próbować ugrać coś swojego, ale Marina nie miała tu czego szukać.

- Oj, nie uzalaj się nad sobą. - Dziewczyna jednym ruchem rozwiązała szpagat, zdjęła kartonowe wieczko i podała mi leżącą obok tortu butelkę. - Co powiesz na francuski trunek?

- Zmówiliście się z Sielinem czy co?

- Poił cię francuskim koniakiem? - domyśliła się od razu. - Niedobry z niego chłopczyk! Wszystko powiem jego żonie!

- Daj spokój, wyszło po sto gramów na głowę. - Machnąłem ręką i przesunąłem szafkę z leżącym na niej tortem na środek pokoju. - Drobiazg...

- Tu sto gramów, tam sto gramów - prychnęła Marina, usiadła na łóżku i założyła nogę na nogę. - Dasz radę pokroić to cacko jednorazowym nożem?

Skąpa spódniczka jeszcze mocniej opięła cudne biodro, więc nie tak od razu zdołałem przenieść spojrzanie na wytwór cukierniczego kunsztu, ozdobiony bezowymi kwiatami.

- Całkiem zdziczałeś w tej samotności. - Dziewczyna pokręciła głową i wyjęła z torebki paczkę papierosów. - Sielin nawet mnie ostrzegał, że możesz być namolny.

- Postaram się zachowywać, jak na prawdziwego dżentelmena przystało - obiecałem i wziąłem się dokrojenia tortu. Potem chwyciłem za przyniesiony zapobiegliwie przez ślicznotkę korkociąg i otworzyłem wino. - Możesz być spokojna.

- Biorąc pod uwagę reputację niektórych prawdziwych dżentelmenów... - Marina zapaliła i uśmiechnęła się. - A zresztą Bóg z nimi. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli puszczyć dymka?

- A puszczać sobie na zdrowie. - Wyjąłem dwie szklanki ze środkowej szuflady i powiedziałem: - Wybacz, nie mam kieliszków.

- Nieważne! Nalewaj!

Napełniłem szklanki i podałem jedną Marinie. - Za ciebie! - wzniosła natychmiast toast. Trąciliśmy się. Umoczyłem wargi w cierpkim napoju i uważnie przyjrzałem się dziewczynie.

Krótko ostrzyżona, ostre rysy ze zgrabnym noskiem, lekko podmalowane oczy i usta pokryte bezbarwną szminką. To zadziwiające, że postanowiła do mnie zajrzeć. Na pewno mogłaby znaleźć o wiele bardziej interesujące towarzystwo.

- O czym myślisz?

- Po prostu się dziwię. - Uśmiechnąłem się. - Najmniej ze wszystkiego spodziewałem się zobaczyć tutaj ciebie.

- Zastanawiasz się, po co przyszłam?

- Właśnie.

- Tak naprawdę zawsze byłam w tobie skrycie zakochana, a dzisiaj nie wytrzymałam i postanowiłam wyjawić swoje uczucia. - Zaśmiała się nieco ochryple. - Dobrze wytłumaczenie?